

Przekłady

Stefan Themerson i Bertrand Russell

Korespondencja

Korespondencja między państwem Russell i państwem Themerson rozpoczęła się we wrześniu roku 1950, a zakończyła przed Bożym Narodzeniem roku 1977, niedługo przed śmiercią Edith Russell. Poniższy wybór korespondencji, mówiącej o problemach literatury, języka, filozofii, etyki, logiki i życia, pochodzi z okresu niespełna dwóch lat.

W roku 1945 Stefan Themerson napisał *Bayamusa*, swoją pierwszą powieść w języku angielskim. Stefan Themerson urodził się w Polsce, mieszkał we Francji w latach 1938–1942. W 1942 przybył do Anglii, gdzie spędził resztę życia. Zmarł w 1988. Był pisarzem, twórcą filmów eksperymentalnych, wydawcą. W 1948 on i jego żona Franciszka założyli wydawnictwo Gaberbocchus Press, które prowadzili do roku 1979. Franciszka była malarką, grafikiem i scenografem. *Bayamus* został opublikowany przez wydawnictwo Editions Poetry London w roku 1949. Themerson posłał egzemplarz powieści Bertrandowi Russellowi. Ten przeczytał książkę, spodobała mu się; był to początek ich korespondencji i zażyłej przyjaźni.

Potem Russell napisał przedmowę do powieści Themersona *Wykład Profesor Mmaa*. Wydawnictwo Themersonów, Gaberbocchus Press, opublikowało książkę Russella „Good Citizen's Alphabet [*Alfabet Dobrego Obywatela*] z ilustracjami Franciszki Themerson. Tekst ten Themersonowie otrzymali od autora w prezencie gwiazdkowym w 1952. W 1962 z okazji jego dziewięćdziesiątych urodzin Themersonowie wydali *History of the World in Epitome*.

Prezentowana tu korespondencja to kilka pierwszych listów, jakie wymienili Themerson i Russell, niezobowiązujący początek bliskiego i serdecznego związku, który przetrwać miał 27 lat.

Jasia Reichardt

Redakcja „Przeglądu Filozoficznego” wyraża serdeczne podziękowania pani Jasi Reichardt za udostępnienie niniejszej korespondencji oraz praw do niej. Dziękujemy również Pani Małgorzacie Sady za inicjatywę jej wydania.

15 września 1950
41 Queen's Road, Richmond, Surrey

Drogi Panie!

Z powodu podróży z wykładami do Australii dopiero teraz znalazłem czas, żeby przeczytać książkę, którą był mi Pan uprzejmy przesłać. Jej lektura sprawiła mi wiele przyjemności i mam nadzieję, że spotka się ona z tak dobrym przyjęciem na jakie zasługuje.

Delektowałem się szczególnie Pańską Poezją Semantyczną¹, przywiodła mi na myśl pedantyczne frazy, którymi zabawiałem się, umieszczając je w książce *On Human Knowledge*. Być może najwspanialszym komplementem, jakim określić mogę Pańską książkę jest stwierdzenie, iż jest ona niemal tak samo zwariowana jak ten świat.

Z poważaniem
Bertrand Russell
(Earl Russell)

1 stycznia 1952
49 Randolph Avenue, London W9

Drogi Panie!

Właśnie czytałem korespondencję D.H. Lawrence'a, w której to w liście do Lady Cynthii Asquith natrafiłem na następujące *P.S.*: „Czy nosi Pani tytuł Czcigodna czy nie? Jak adresować listy do Pani?” Uderzyła mnie małostkowość tego dylematu i wtedy nagle zdałem sobie sprawę z tego, że stanowiła właśnie przyczynę, dla której, bardziej czy mniej nieświadomie, ja sam nie zareagowałem na fakt otrzymania listu, który Pan był tak uprzejmy przesłać mi 15 września 1950; jak też przyczynę tego, że nie podziękowałem Panu do tej pory za pozwolenie, którego udzielił Pan mojemu wydawcy, na zacytowanie Go. Czuję się teraz na poły zawstydzony i rozbawiony własną małostkowością i mogę mieć tylko nadzieję, iż owo wyznanie rozbawi Pana również. Muszę jednocześnie prosić o wybaczenie Pańskiego sekretarza za stworzenie mitu, przedstawiającego jego spotkanie z sekretarzem Pana Trumana, w moim opowiadaniu², którego egzemplarz przesyłam Panu cały podekscytowany.

¹ Stefan Themerson stworzył pojęcie Poezji Semantycznej w 1944. Odnosiło się ono do sterylnego i obiektywnego użycia słów, znalazło szczególne zastosowanie w przekładach znanych i lubianych tekstów, pełnych skojarzeń i lokalnego kolorytu, dokonywanych według ścisłych i żelaznych definicji słownikowych (przyp. J.R.).

² *WOOF WOOF or Who Killed Richard Wagner?* (przyp. J.R.).

Aby zamknąć listę mych grzechów i ekspiacji, niech wolno mi będzie powiedzieć, iż jestem w trakcie pisania książki o Kardynale Pölätüö, w której jeden z rozdziałów poświęcony jest jego podróży z Rzymu do Richmond, celem przedstawienia Panu wybranych problemów Filozofii Pölätüöizmu. Dawno temu książki Pańskie weszły mi w krew, jako element czasem ożywczy, a czasem doprowadzający do szaleństwa, inicjały Pańskie stały się słowem z mojego słownika i (czy się to Panu podoba czy nie, czy też jest Mu to obojętne) nie mogę powstrzymać się od używania ich za każdym razem, kiedy próbuję złożyć do kupy tę błazeńską układankę — którą jest świat.

Oddany
Stefan Themerson

4.1.52

41 Queen's Road, Richmond, Surrey

Drogi Panie Themerson!

Dziękuję Panu za list. Kiedyś również i mnie powstrzymał podobny dylemat: miałem napisać do Agha Khana, ale nie wiedziałem jak zacząć. Sądziłem, że powinienem napisać „Wasza Boskość!”, ale coś — być może podświadome wspomnienie Pierwszego Przykazania — spowodowało, iż zrezygnowałem. Mojemu ówczesnemu sekretarzowi (obecnie nie posiadam takiego), a była to kobieta, bardzo spodobała się eskapada z sekretarzem Trumana.

Z niecierpliwością oczekuję na zapoznanie się z filozofią Pölätüöizmu.

Z przyjemnością poznałbym Pana, jako że Pańskie widzenie świata jest pokrewne mojemu. Zazwyczaj jestem w domu wieczorami po godzinie 8.30, za wyjątkiem czwartków, sobót i niedziel. Gdyby zechciał Pan zaryzykować podróż na peryferie, proszę zadzwonić i określić porę.

Z poważaniem
Bertrand Russell

Franciszka Themerson do Bertranda Russella

31.1.52

49 Randolph Avenue, London W9

Drogi Bertrandzie Russell!

Poznanie Pana „na żywo”, po tak wielu spotkaniach na kartach Pańskich książek, było przeżyciem ekscytującym i niesłychanie miłym.

Fakt, iż przeczytał Pan książki Stefana i że, jak sędzę, spodobały się one Panu, powoduje, że szaleństwo pisanie ich wydaje się być najbardziej normalną rzeczą na świecie.

Niech wolno mi będzie raz jeszcze podziękować w imieniu Stefana i moim za przewspamiętanie chwile spędzone w Pańskim domu.

Z poważaniem
Franciszka Themerson

P.S. Przesyłamy Panu w osobnej przesyłce *Ubu Roi* (nasze przedsięwzięcie wydawnicze), które, jak mamy nadzieję, rozbawi Pana.

I *Mr Rouse Builds His House* [*Pan Tom buduje dom*] dla bardzo młodej damy, której jestem nieskończenie wdzięczna za zwrócenie Stefanowi uwagi na to, że ma za długie włosy.

4 luty 1952
41 Queen's Road, Richmond, Surrey

Droga Pani Themerson,

Dziękuję Pani za miły list. Jestem przekonany, że Państwa wizyta sprawiła nam równie wielką przyjemność, jak Państwu. Jestem zachwycony *Mr Rouse Builds his House* i przy najbliższej okazji przeczytam ją moim wnukom. Nie miałem jeszcze czasu, aby przestudiować *Ubu Roi*, ale nie mam najmniejszej wątpliwości, że kiedy to nastąpi, będzie to dla mnie czysta radość. Jeżeli chodzi o włosy Pani męża, to znajduję się w takim samym kłopotliwym położeniu i ogromnie trudno jest mi sobie z tym poradzić. Doba ma niewiele godzin, kiedy się ma coś lepszego do roboty niż siedzenie na fotelu u fryzjera.

Z poważaniem
Bertrand Russell

Marzec 1952

49 Randolph Avenue, London W9

Drogi Bertrandzie Russell!

...nie, nie sądzę, że wierzę czy, że kiedykolwiek wierzyłem. Sugerował Pan, że wierzę, tylko że o tym nie wiem i zapytał Pan, czy wierzę, że słońce wszędzie jutro rano. Być może pytanie to wymaga najpierw przeredagowania. Bo słońce nie może nie wzejść jutro rano, bo jutro rano zaczyna się wtedy, kiedy słońce wschodzi — z definicji. To błąd, który popełnił autor Genesis, pozwalając Bogu stworzyć słońce Dnia Czwartego. To zrozumiałe, że Światłość stworzona została przed Słońcem i Księżycem (zwłaszcza, że w listopadzie 1951, w mowie zaadresowanej do Papieskiej Akademii Nauki, Papież tłumaczy „Fiat Lux” jako morze światłości i promieniowania wybuchającego nagle znikąd), ale cóż oznacza „wieczór i ranek stały się dniem pierwszym, drugim, trzecim”? wyprzedzającym w czasie stworzenie 'większej światłości'? Jednak jeśli odłożę na bok Biblię wezmę do ręki „The Times”, otworzę go na stronie z prognozą pogody i przeczytam „Słońce wschodzi o 7.05 rano [7:05 a.m.]”, wtedy pytanie Pana przybierze postać następującą: „czy wierzę, że słońce wszędzie o 7:05 rano [7:05 a.m.]?” I tu znowu pojawia się we mnie coś, co metaforyczno-dosłownie buntuje się przeciwko użyciu słowa „wierzyć” i nie uważam, że wynika to z jakiejś mojej osobistej słabości. Jeżeli mówię, iż „myślę”, oczekuję, mam nadzieję, „rozumiem”, z góry zakładam, przyjmuję, nawet: „wiem”, że Słońce wszędzie o 7.05 rano [7:05 a.m.] (to a.m. odczytałbym tu jako *'after midnight'* — po północy, ponieważ nie miałyby sensu powiedzieć *'ante meridiem'*, jeżeli nie wiemy czy w ogóle nastąpi południe) — a potem nie weszłoby ono o 7.05 rano [7:05 a.m.], ale 1, 2 czy 3... czy n sekund później — to pobudziłoby to jedynie moją ciekawość i próbowałbym dowiedzieć się, gdzie zdarzyło się coś nieoczekiwanego, w „The Timesie” czy w kosmosie. Jednakże gdybym powiedział, że „wierzę”, iż Słońce wszędzie o 7.05, a potem weszłoby ono o kilka sekund później, no to w takim przypadku widzę tylko dwie możliwości: mój koniec albo koniec Wszechświata.

Pewien węgierski kupiec chciał, nie wiedzieć czemu, aby syn jego uczył się hiszpańskiego. Student z Warszawy, przebywający na wakacjach, który nie znał ani jednego słowa w tym języku, zaproponował udzielanie lekcji i przez kilka miesięcy pracowicie uczył chłopca języka polskiego. Gdyby chłopiec miał nadzieję, oczekiwał, myślał, 'wiedział', że zna hiszpański, to kiedy prawda wyszłaby na jaw, nadal miałby swobodę zaakceptowania tego, że to, co wiedział o swojej znajomości hiszpańskiego, było o wiele bardziej nieprawdziwe od tego, co wiedział o innych rzeczach dotyczących świata, a cała reszta zależałaby od jego poczucia humoru. Gdyby natomiast 'wierzył', wtedy zmuszony byłby nie dopuścić do tego, by przekonały go jakiekolwiek świadectwa i musiałby myśleć, że cały świat się myli i tylko on ma rację, musiałby wymyślić fałszywy świat wokół siebie, pasujący do tego, w co wierzył, a w końcu doszedłby do wniosku, że polski

przekład Cervantesa to oryginał, a *Don Quixote de la Mancha* to hiszpański przekład z polskiego. I tak właśnie postępują ci, którzy wierzą. I muszą tak postępować. Bo jeżeli rzeczywiście wierzą, czy to w Przemienienie, czy w kolejowy rozkład jazdy, to wiedzą, że z chwilą, kiedy pozwolą, aby dane przedstawione w poniedziałek zniweczyły ich wiarę, we środę mogą pojawić się nowe dane, które zniszczą to, w co wierzyli we wtorek. Bestialstwo tego świata, które obserwujemy wszędzie dookoła, mogłoby służyć jako dowód przeciwko założeniu o dobroci Boga. Ale jeżeli ktoś wierzy w Jego dobroć, to woli zapomnieć o Jego wszechmocy i wymyśla diabły, grzech pierworodny itd. Znaleźć można by wystarczająco wiele danych, by wykazać, że nadmiar cierpienia i biedy wypacza charakter człowieka. Ale jeżeli ktoś wierzy, to woli sięgnąć po ideę oczyszczenia.

Będę zmuszony mówić o sobie, choć nie dlatego, że jestem egocentrykiem (którym w pewnym sensie jestem, a w pewnym sensie — nie), ale dlatego, że mój aparat myślowy jest w jakiś sposób zadziwiony i zafrapowany mocą buntu mojej istoty przeciwko użyciu słowa „wierzyć” i chce ona dowiedzieć się, czy wynika to stąd, że nie rozumiem znaczenia tego słowa, czy też z jakichś innych powodów (z wyłączeniem „wyjaśnień” psychoanalitycznych, ponieważ byłyby one jedynie rodzajem specyficznego *ignoratio elenchi*). Zostawszy zatem swoim własnym królikiem doświadczalnym i zerknąwszy w jego wnętrzości zauważam, że moja reakcja na słowa „słońce wszędzie o 7.05 rano” nie jest wcale jednoznaczna. Oskarżam siebie o nieszczerłość, chociaż trudno byłoby określić, na czym mogłaby ona w takim wypadku polegać; a potem nie znalazłszy przyczyny w sobie, ponownie przyjrzałem się zdaniu i zobaczyłem, że leży ona w tym, co nie było wcale jednoznaczne.

Jest to zdanie o dwóch obliczach, każde oblicze ma dwa profile i gdy to dostrzegamy, czujemy się nieswojo, nawet jeżeli obie twarze patrzą w tym samym kierunku. Podobnie musi czuć się A po odbyciu długiej podróży z B, kiedy B mówi: „Zjedźmy coś, bo 'ty' jesteś głodny”.

Wydaje mi się, że „Słońce wszędzie o 7.05 rano”, jest stwierdzeniem dwójakiego rodzaju. Jest ono stwierdzeniem typu: (1) „Cukier rozpuszcza się w wodzie”; i jednocześnie jest ono stwierdzeniem typu: (2) „Psy szczekają”. Drugie stwierdzenie jest uogólnieniem. Pierwsze nim nie jest. Jeżeli mam psa, który nie szczeka, nie powiem: „Benjamin nie jest psem”, ale gdybym kupił cukier, a on nie rozpuściłby się w mojej herbacie, odesłałbym go sklepikarzowi, on zaś odesłałby go Messrs. Tate & Lyle, oni z kolei, o ile zechcieliby, odesłaliby go do Laboratorium Badawczego, gdzie jakiś Rutherford czy Bohr musiałby w końcu wykryć różnicę strukturalną między tą próbką a resztą Cukru i nadać jej nową nazwę, na przykład 'Cucukier', w przeciwnym razie musieliby odesłać ją do Rzymu, celem ogłoszenia cudu. Psy szczekają poprzez uogólnienie; cukier rozpuszcza się z definicji. Z punktu widzenia szczekania każdy pies może być potraktowany jako rzecz odrębna; z punktu widzenia rozpuszczalności, cały cukier — przeszły, obecny i przyszły — jest jedną rzeczą. Zatem sprawdzając umiejętność szczekania

w przypadku Benjaminą zyskujemy wiedzę jedynie na jego temat, a niekoniecznie na temat innych psów. Natomiast próbując smaku jednej filiżanki herbaty, zyskujemy wiedzę na temat rozpuszczalności całego cukru. A teraz, zanim powrócę do „Wschodzącego Słońca”, nie mogę oprzeć się pokusie zanotowania czterech pytań, które jakiś czas temu, nie wiem jak, same powstały w moim mózgu (umyśle) królika doświadczalnego, który poddaje obserwacji:

1. Czy zdanie „psy szczekają” będzie poprawne jutro?
2. Czy Benjamin będzie jutro szczekał?
3. Czy cukier jutro się rozpuści?
4. Czy ta łyżeczka cukru jutro się rozpuści?

Czy żeby na nie odpowiedzieć, potrzebuję słowa „wierzyć”?

Zapaliłem fajkę i zacząłem rozmyślać nad odpowiedziami, chociaż dokładnie nie wiem, co mam na myśli mówiąc „rozmyślałem o odpowiedziach”, ponieważ myśli moje w przeciągu tej ostatniej minuty, o ile je teraz pamiętam, nie miały nic wspólnego z tymi pytaniami. Pierwszą myślą było: Jak głupio zrobiłem, że jadąc do Richmond kupiłem na stacji paczkę papierosów, ponieważ pomyślałem, że może Pan nie znosić zapachu tytoniu fajkowego, a potem Pan palił fajkę, a ja papierosy; następnie pomyślałem coś o moim pisaniu, co chciałbym usunąć ze świadomości; potem pomyślałem coś o zębie, który mi właśnie wyrwano, potem coś o pieniądzech, co chciałbym usunąć ze świadomości; potem, że muszę myśleć o tych czterech pytaniami; potem coś o seksie, co chciałbym usunąć ze świadomości; potem: jak to szczęśliwie się złożyło, że ponumerowałem pytania, muszę tylko napisać cyfry 1,2,3,4 i będzie teraz łatwiej; a potem wziąłem ponownie pióro do ręki i nie wiem, co myślałem na temat pytań, lecz mimo to wiem, że nie byłem przygotowany na napisanie odpowiedzi minutę czy dwie minuty temu, kiedy to zapaliłem fajkę, ale że jestem gotów zrobić to teraz, kiedy potrzebuję jeszcze jednej zapalki.

1a. Zdanie „psy szczekają” będzie poprawne jutro, o ile w dniu jutrzejszym nie pojawi się tyle niezdolnych do szczekania szczeniaków, że przewyższą one liczebnie wszystkie szczekające psy zaobserwowane na przestrzeni wieków. W tym przypadku poprawne zdanie w dniu jutrzejszym brzmiałoby: „zdanie 'psy szczekają' nie jest poprawne dzisiaj i było ono 'nie'poprawne wczoraj (choć ludzie błędnie uważali, że było ono poprawne), o ile dzień jutrzejszy nie przyniesie tylu szczekających szczeniaków, że przewyższą one liczebnie szczeniaki nieme (w tym przypadku błędnie myślimy, że nie jest ono poprawne)”. Ponieważ tak wiele zależy od genów przyszłych suk, o wiele łatwiej byłoby napisać to ostatnie zdanie, gdybyśmy posiadali prostszą metodę pokazania, czy mówiąc „psy szczekają”, mamy na myśli psy martwe, czy psy żywe, czy psy przyszłe. Dałoby się uniknąć wielkiego zamieszania, gdyby na przykład końcówki gramatyczne czasowników, wskazujące na czas, były dodawane w zdaniu do rzeczowników, a nie do czasowników.

Żaden trójnożny koń nigdy nie wygrał Derby.

„Czerwona Flaga” ma trzy nogi.

Jednak „Czerwona Flaga” mogła wygrać Derby w 1950 i stracić nogę w 1951.

Byłoby to o wiele mniej dwuznaczne, gdybyśmy mogli powiedzieć:

Żaden trójnożny koń (przeszły) nie wygrywa Derby.

„Czerwona Flaga” (teraźniejszy) ma trzy nogi.

i gdybyśmy posiadali regułę tyzącą *„la concordance des temps”*.

Kiedy mówimy: „Jan naśmiewał się z Piotra, ale teraz go podziwia” — to nie wiemy dokładnie, czy jest tak dlatego, że Piotr się zmienił, czy dlatego że Jan się zmienił, czy też dlatego że zmienili się obaj. Jednakże jeśli dodamy końcówkę czasową do rzeczowników i zostawimy czasowniki w formie bezokolicznikowej to będzie jasne, że „Jan (-przeszły) naśmiewać się z Piotr (-przeszły), ale Jan (-teraźniejszy) podziwiać Piotr (-przeszły)” — znaczy, że Piotr się zmienił. Moglibyśmy nawet powiedzieć: „Jan (-przeszły) i Jan (-teraźniejszy) naśmiewać się z Piotr (-przeszły), ale Jan (-teraźniejszy) podziwiać Piotr (-teraźniejszy)”.

To prawda, że to, co reprezentuje czasownik, wymaga czasu. Jednakże to, co reprezentuje rzeczownik, również odbywa się w czasie. I chociaż istnieje ciągłość między Prezydentem Republiki Francuskiej i płodem, jakim był, łączące ich podobieństwo jest zaledwie minimalne. Z drugiej strony znaczenie czasownika, na przykład: „wydać na świat”, jest dziś takie samo, jakie było kiedy przyszedł na świat Prezydent.

Moglibyśmy powiedzieć:

Tylko słoń i wieloryb wydają na świat stworzenia, które ważą 70 kilogramów, a nawet więcej.

Prezydent waży 75 kilogramów.

Matka Prezydenta była słoniem albo wielorybem.

Potworność taka nie byłaby możliwa, gdybyśmy dysponowali środkami pozwalającymi dołączać końcówki czasów do rzeczowników:

Tylko słoń (-przeszły -teraźniejszy) i wieloryb (-przeszły -teraźniejszy) wydawać na świat stworzenia, które ważą 70 kilogramów, a nawet więcej.

Prezydent (-teraźniejszy) ważyć 75 kilogramów.

Natychmiast widzimy, że czasy w przypadku „słonia” i „Prezydenta” nie są identyczne i że jedynym wnioskiem, do jakiego możemy dojść, jest to, że ze wszystkich samic tylko słonica i wielorybica mogłaby wydać na świat Prezydenta takiego, jakim jest on teraz (co, pomijając inne rozważania, przynajmniej z punktu widzenia wagi, nie jest pozbawione sensu).

Często prześladowała mnie pokusa sporządzenia zarysu Słownika Znaków, które mogłyby spełniać funkcję gramatycznych operatorów prowadzących wyrazy w zdaniu, wyrazy z dowolnego języka, w ich najprostszych formach *nominativus*, *infinitivus* czy też w formach bezfleksyjnych. Oto wskaźnik czasu, który proponuję dołączyć do rzeczowników. Wygląda to jak tarcza zegara z jedną (albo z dwiema lub trzema wskazówkami) „CZAS .5CHW, 1.5 CHW, 2.5CHW,

3.5CHW, 4CHW, 4.5CHW, 5CHW, 5.5CHW, 6CHW, 6.5CHW, 7CHW, 7.5CHW, 8.5CHW, 9.5CHW”

chwila w	przeszłości	teraźniejszości	przyszłości
liczba chwil w	„	„	„
długość czasu w	„	„	„
czas „rozpoczęty” w	„	„	„
dokonany	„	„	„
	itd.	itd.	itd.

ogólne twierdzenia: przeszłość i teraźniejszość
 teraźniejszość i przyszłość
 przeszłość, teraźniejszość i przyszłość

Zatem twierdzenie „psy szczekają” jest poprawne dzisiaj i będzie poprawne jutro, jeżeli nie nastąpi radykalna zmiana w zdolności -szczekania psiej populacji. I nawet jeśli dzień jutrzejszy przyniesie przygniatającą ilość niemych mutantów, nadal będzie ono poprawne, choćby w postaci „(psy szczekają)”. Jednak „psy szczekają” jest twierdzeniem, którego nigdy — wczoraj, dzisiaj czy jutro — nie możemy być pewni, o ile nie zdecydujemy się zaprzestać klasyfikowania nie-szczekających psów jako psów, w którym to przypadku twierdzenie to przestaje być uogólnieniem i staje się tautologią i w ten sposób przechodzi z opisowej zoologii do nauki ścisłej. I nie odczuwam najmniejszej pokusy, aby użyć słowa „wierzyć” w odniesieniu do któregośkolwiek z powyższych twierdzeń.

2a. „Czy Benjamin będzie jutro szczekał?” albo
 (Benjamin szczekać)?

Nie wiem.

Jeżeli on szczekać, to on prawdopodobnie szczekać, ale on może nie, kto wiedzieć?

Jeżeli on nie szczekać, to on prawdopodobnie nie szczekać, ale on może, kto wiedzieć?

Mogę „mieć nadzieję”, że będzie szczekać (albo, że nie będzie szczekać). Mogę wyobrazić sobie sytuację, w której chciałbym oddać życie za to, by on został szczekającym psem (lub nie-szczekającym psem), ale nie oddałbym życia za komfort przekonania, że będzie szczekał (lub nie będzie szczekał). Jednakże ludzie, którzy „wierzą”, oddają życie nie tylko dla sprawy, której służą, ale i za swoje własne przekonania. Ich przekonania wypływają prawdopodobnie z ich osobistej integralności (lub deformacji) i mają mało wspólnego z dowodami,

podczas gdy moja „wiedza” o zdolności Benjamina do szczekania wypływa z uogólnionych danych doświadczalnych i nie ma nic wspólnego z przekonaniami. Kusi mnie, aby powiedzieć, że jest wręcz przeciwnie, że gdybym żywił jakieś przekonanie, byłoby to przekonanie, że rzeczy zmieniają się i że wszystko może się wydarzyć; ten, kto dziś szczeka, jutro może zamilknąć i na odwrót itd, ale nawet tej niezmienności zmienności rzeczy nie jestem tak jednoznacznie pewny, ażebym uznał się uprawnionym do powiedzenia, że „wierzę” w to.

3a. „Czy cukier będzie jutro rozpuszczalny?”

Jest to szczególny przypadek pytania bardziej ogólnego: „Czy prawo natury może się zmieniać?”

Tu Kardynał Pölättö ostro przeciwstawia się Bertrاندowi Russellowi. Chociaż Kardynał jest zbyt wytrawnym teologiem, aby połknąć przynętę Eddingtona-Jeansa. „...fakt, że pewne ruchy elektronów nie są żadną przyczyną zdeteminowane”³ — mówi Kardynał — „nie może znaczyć, iż nauka odkryła to, co z natury rzeczy przez naukę odkrywane nie jest... Kościół bynajmniej nie oczekuje od nauki, aby zabarwiała się Boskością... W szczególności zaś błędem jest, jeśli nie herezją, uważać, iż cuda są naukowo możliwe. Wręcz przeciwnie, nie są możliwe. Jakże to? — przecież tylko dlatego, że są niemożliwe, albowiem te tylko, które niemożliwe są, są cudami, te zaś, które są możliwe, nimi nie są.”⁴ A potem, *à propos* przypadku patologicznej partenogenezy — „Tak więc, jeżeli przypadkowe współdziałanie atomów jest możliwe, to cudem ono być nie może. Cud, aby był możliwy, musi być załamaniem tych praw przyrody, których załamanie nie jest możliwe. Strzec się więc trzeba nie tylko 'empirystów', jak Eddington i Jeans, którzy rozpostrzeć chcą świat nauki na to, co nią nie jest; ale także racjonalistów, jak Russell, którzy tak chcą go skurczyć do samego jądra, że dochodzą do pytania: «Czy Prawa Przyrody mogą się odmienić?» i nie pozostaje im w ręku nic, czym mogliby napisać: «Nie!».”⁵ Następnie określiwszy swój problem, a mianowicie że: Prawa Natury nie mogą się odmienić, w przeciwnym bowiem razie byłoby możliwe totalne załamanie się prawa, co z kolei znaczyłoby, że totalny cud (taki jak Dzień Sądu Ostatecznego) jest niemożliwy — Pölättö utrzymuje dalej: „Wyobraźmy sobie, iż cukier nie będzie chciał rozpuścić się w wodzie. Jeżeli nastąpi to z woli Boga, Który zechciał pokazać naukowcom, iż cuda jego są możliwe, to rzeczą konieczną będzie, aby naukowcy nie mogli znaleźć przyczyny dla tak naglej nierozpuszczalności cukru. Jeżeli jednak ta nierozpuszczalność stanie się nie z Woli Boga, to ponieważ inne stałe fizyczne wywodzą się z e, m, M, h, c, G”⁶, oczywiście jest, iż ta nagła zmiana w rozpuszczalności cukru musi być wynikiem jakichś zmian w wartościach liczbowych 'e',

³ S. Themerson, *Kardynał Pölättö*, Kraków 1971.

⁴ Tamże.

⁵ Tamże.

⁶ Wymieniane w *Human Knowledge*.

'm', 'M', 'h', 'c', 'G', ' ' . A ponieważ stałe te występują we wszystkich podstawowych równaniach fizycznych, to każda zmiana ich wartości przyniesie za sobą zmianę wszystkich namacalnych faktów, takich jak struktura nie tylko owego cukru, ale i instrumentów, które będą tę zmianę mierzyć oraz mózgów, które będą to postrzegać. Tu jednak Pölätüömizm utrzymuje, iż zmiany, jakie zajdą w owych instrumentach, będą tego rodzaju, że skompensują zmiany, jakie zajdą w stałych fizycznych, wskutek czego instrumenty te żadnych zmian dostrzec nie będą mogły; co, innymi słowy, jest równoznaczne z powiedzeniem, że zmiany wartości 'e', 'm', 'M', 'h', 'c', 'G', ' ' nie są możliwe; co jest równoznaczne z powiedzeniem, że Prawa Przyrody Odmienić się Nie Mogą; co jest tak, jak być powinno, aby totalny cud mógł być możliwy.⁷ Tyle o Kardynale. Nic nie wiem o jego dosyć arbitralnym założeniu, że zmiany, jakie zajdą w instrumentach obserwacji, skompensują zmiany, jakie zajdą w wartościach stałych fizycznych. Poza tym jego rozumowanie wydaje się zdrowe. Jeżeli nagle nierozpuszczalność jutrzejszego cukru implikuje zmianę, jaka zajdzie w stałych fizycznych, a zmiana w stałych fizycznych implikuje zmianę, jaka zajdzie w całym wszechświecie, to czy uzasadnione jest nazywanie jutrzejszego cukru (tego, który posiada strukturę po-zmienną) tym samym słowem, którym nazywamy dzisiejszy cukier? A jutrzejszą wodę tym samym słowem, którym określamy dzisiejszą wodę? A rozpuszczalność (tak jak rozumieć ją będzie dusza związana z mózgiem, który będzie miała strukturę po-zmienną) — czy uzasadnione jest nazywanie jej tym samym słowem, co dzisiejszej rozpuszczalności? Jednakże jeżeli zgodzimy się nazywać cukier po-zmianie (czymkolwiek będzie) „cucukrem”, to wtedy będziemy mogli zapisać dwa twierdzenia:

	cukier	rozpuszczalny
i	cucukier	nie-rozpuszczalny,

które nie są sprzeczne; żadne z nich nie jest zdaniem ogólnym; każde jest jak najściślej naukowe, ponieważ potwierdza to, co zostało już milcząco zawarte w definicji; a fakt, że po Wielkiej Zmianie nie ma gdzie szukać cucukru, nie ma wpływu na ich poprawność.

Innymi słowy: cały przeszły, teraźniejszy i przyszły cukier jest rozpuszczalny i cały przeszły, teraźniejszy jest rozrozpuszczalny; i nie pojmuję, dlaczego wyrażając te zdania powinienem użyć słowa, którego inni potrzebują, aby wyrazić stany swojego umysłu, zupełnie inne od mojego obecnego stanu umysłu, co skłania ich do powiedzenia czegoś takiego:

„Wierzę, że Bóg mi jutro pomoże”, albo:

„Wiem, że jesteś najgorszym chłopcem, jakiego widziałem na własne oczy; obserwowałem cię i niejedno zauważyłem: po pierwsze kopnąłeś młodszą siostrę i zrobiłeś to celowo; potem nasikałeś do czajniczka; następnie mam dowód na to, że wyciągnąłeś mi dwa pensy z portmonetki, zatem dlaczego, ach, dlaczego nadal 'wierzę', że masz dobry charakter?!”

⁷ Tamże.

4a. „Czy ta łyżeczka cukru rozpuści się jutro?”

Tak, o ile nic nie przeszkodzi mi we wsypaniu jej do herbaty albo, innymi słowy: o ile znajdzie się w herbacie; i o ile nikt nie splata mi figła, spryskując ją izolującą powłoką szelaku, innymi słowy: jeśli molekuly cukru zetkną się z molekulami herbaty; i o ile nie będzie żadnych sztuczek z temperaturą, ciśnieniem *etc.*, innymi słowy: jeśli nie przeszkodzi się napięciu we wprowadzeniu siłą cząsteczki rozpuszczającej się substancji do rozpuszczalnika; i jeśli nikt podstępnie nie zamieni tej łyżeczki cukru na inną porcję cukru, innymi słowy: jeśli ta łyżeczka cukru rozpuści się jutro.

Nie widzę powodu, dla którego miałbym użyć słowa 'wierzyć', jeżeli chcę stwierdzić, że: „Ta łyżeczka cukru rozpuści się jutro, jeżeli rozpuści się ona jutro”.

Cały kłopot z kwestią Wschodzącego Słońca polega na tym, że wywołuje ona jednocześnie cztery powyższe reakcje (1a. psy; 2a. Benjamin; 3a. cukier; 4a łyżeczka cukru) i za każdym razem, kiedy ktoś ma do czynienia z jedną, wie, że są inne co — nawet jeśli umysł nie może tego rozwikłać — emocjonalnie pozostaje dość kłopotliwe.

1b. „Psy szczekać.”

„Słońca (bez względu na to, czy stanowią one jedno biograficzne słońce czy nie) wschodzić.”

To wszystko, co wiemy. Jednakże psy są stosunkowo małe, uzależnione od nas i możemy wyobrazić sobie nadejście nowej mody, prowadzącej do wyhodowania milionów nieszczekających psów; podczas gdy każda myśl o wielkości (czy też oddaleniu — jeśli nic nie powiedziano nam o wielkości) Słońca (czy słońc — jeżeli za każdym razem to, które widzimy wschodzące na niebie, jest nowym słońcem), a zarazem jego niezależności napętnia nas strachem. Niemniej jednak, jeśli nie dopuścimy tu do rozważań przynależnych do pozostałych trzech odpowiedzi (2, 4, 3), jeśli całkowicie zapomnimy o grawitacji *etc.*, *etc.* i skoncentrujemy się wyłącznie na tej 'liczbie' znanych nam z przeszłości przypadków wschodów słońca, to trudno będzie pojąć, jak sama liczba tylko z tego powodu, że jest wielka, miałaby nas skłonić do myślenia, że to zdarzenie 'nastąpi' ponownie. Nie jest to myślenie rodem z Monte Carlo. Kiedy w Monte Carlo 'czerwone' wypada kilka razy z rzędu, to oczekujemy, że prędzej czy później wypadnie 'czarne'. Dlaczego miałaby nas onieśmielać liczba obserwacji z przeszłości? Czyż trzpień obrotowy dowolnej maszyny wirującej nie wykonuje w ciągu dnia pracy więcej obrotów niż wykonało ich Słońce (czy Ziemia) od czasów Jozuego, a mimo to wiemy, że kiedy syrena fabryczna zaczyna wyc, to po ośmiogodzinnej podróży musi nastąpić obrót, który będzie tym ostatnim?

Do tego miejsca nie jestem przekonany o tym, że powinienem stosować sformułowanie „'Wierzę', że jutro wszędzie słońce”. Wręcz przeciwnie, gdyby nie istniał żaden inny czynnik, który można by wziąć pod uwagę, dokumentacja ogromnej ilości obrotów, które miały miejsce w przeszłości, obudziłaby raczej moją gotowość, a nawet wywołałaby we mnie niewielkie zniecierpliwienie i ocze-

kiwałbym niespodziewanego finału i byłbym nań bardziej przygotowany niż jestem obecnie. W końcu zarówno polinezyjska wyspa Maui, jak i chrześcijańscy uczeni z roku pańskiego 1000 mieli za sobą taką ilość Wschodów Słońca, która pozwoliła im dokonać uogólnienia, a mimo to nie byli wcale tacy pewni, jaki będzie jego następny ruch.

2b. „Benjamin szczekał na mnie już tyle razy, to dlaczego jutro nie miałby na mnie szczekać?”

„W przeszłości każdego dnia Słońce było na niebie, to dlaczego nie miałyby się tam znaleźć jutro?”

To najsilniejsze ze wszystkich usprawiedliwienie użycia słowa 'wierzyć', bo mamy tu do czynienia nie tyle z dowodami czy liczbami, ile z nabytymi zwyczajami, które nazywa się 'wierzeniami' i które, tak jak namiętności (jeśli wolno mi tu zacytować *New Hopes for a Changing World*), posiadają pewien pęd i tendencję do powtarzania się w nieskończoność" i przyznaje, że słowo „wierzyć” może być użyte zarówno do opisu stanu umysłu tych ludzi, którzy nie zwracając szczególnej uwagi na zoologię czy kosmologię myślą, że jutro Benjamin będzie szczekał, a Słońce wszędzie, jak i stanu umysłu niektórych ludzi, którzy nie zwracając szczególnej uwagi na teologię, przyjmują liturgię za rzecz oczywistą, ponieważ tak zostali nauczeni (uwarunkowani) i nigdy nie przyszło im do głowy, żeby się zbuntować. Jednakże ten królik doświadczalny buntuje się. Chociaż nie buntuje się on tak bardzo „intelektualnie”. Ośrodek buntu (a może powinienem powiedzieć: ośrodek odczuwania buntu) można zlokalizować anatomicznie. Nie znajduje się on bardziej w mózgu niż w palcach u nóg. Znajduje się on w tym dziwnym miejscu między żebrami nad żołądkiem, nazywanym, jak sądzę, *plexus solaris* [splot słoneczny]. To na początek, argumenty intelektualne później. A ponieważ królik doświadczalny kieruje się jedynie tego rodzaju reakcjami cielesnymi, to w tym skomplikowanym świecie nie może sobie pozwolić na ich zignorowanie. Zatem ponieważ jego *plexus solaris* buntuje się przeciw temu, by krtań jego używała słowa „wierzyć”, do opisu jego „mózgowo-kręgowego” stosunku do problemu Wschodzącego Słońca, to cały królik doświadczalny zmienia się w znak zapytania pytający: „Dlaczego tak jest?”

Myślę, że tak jest dlatego, że reakcje królika doświadczalnego przez całe jego życie były, jakby to nazwał Pawłow, „nieuwarunkowane” przez świat, stawiający go nieustannie w obliczu niespodziewanych sytuacji, dopóki nie zostanie uwarunkowany tak, aby oczekiwać tego, co niespodziewane. Jutro Benjamin zaszczeka albo nie zaszczeka. Ale jeżeli jutro Benjamin przyjdzie do mnie, położy mi głowę na kolanach i odezwie się niskim głosem: „Cześć Stefan, czy pamiętasz, o czym marzyłeś w dzieciństwie?” albo wskoczy na parapet i zacznie śpiewać jak kanarek, to czy mam potraktować jego zachowanie jako szczekanie czy też nie szczekanie? Wydaje się, że „A albo nie-A” budzi wątpliwości, kiedy zostaje wyjęte z *in vitro*. Po żniwach będzie wojna albo jej nie będzie. I potem przychodzi wojna, ale żniwa się spóźniają i stogi gniją na polu; albo „jest” wojna, ale nie tam, gdzie

zakładaliśmy; albo jest wojna, ale nie nazywa się jej „wojna”, lecz „przygotowaniem do pokoju”. Dla umysłu „mózgu” jest zawsze „A albo nie-A”. Dla zespołu umysłu „mózgu-cum-plexus-solaris” jest zawsze: Żaden i Obydwa albo Coś Trzeciego. Jeżeli oczekuję, że K albo mi pożyczy jednego funta, albo nie pożyczy, a potem spotykamy się i to on pożycza ode mnie pół korony, to sytuacja ta z punktu widzenia „mózgu-cum-plexus-solaris” nie jest ani A, ani nie-A, to Coś Trzeciego.

Albo na dworze pada, albo nie pada. A więc wychodzę na ulicę i nad głową mam skraj chmury, po mojej lewej stronie chodnik jest mokry i dzwonią o niego krople deszczu, a po prawej stronie chodnik jest suchy i pokryty pyłem. I chociaż nie przewidziałbym tego, nie próbowałbym określić, ile cali kwadratowych (a może sześciennych?) czyni 'dwór', ani tego, ile kropli czyni 'deszcz', ani też tego czy 'pada' w przestrzeni między spadającymi kroplami, czy nie; mimo to, gdyby mnie zapytano: „Czy wierzysz, że na dworze albo pada, albo nie pada?”, to nie tylko słowo 'wierzyć', ale sama precyzja tego pytania wzmogłaby moją czujność i skłoniłaby mnie do pomyślenia o nieprzewidzianym (a może nawet wzbudziłaby nadzieję na nie).

Jednak co jest tym nieprzewidzianym w przypadku Wschodzącego Słońca? Porzućmy wszelkie inne rozważania umieszczone pod 1, 3 i 4 i skoncentrujmy się na Nr 2, typu: „Benjamin czekał na mnie już tyle razy, to dlaczego nie miałby czekać na mnie jutro?” Można to wyrazić lepiej w następujący sposób: „miały miejsce okresowe koincydencje polegające na tym, że Słońce było na niebie (a niebo było zachmurzone albo i nie), a ja nie spałem (drzemałem albo i nie) i zjawisko to stworzyło pewne przyzwyczajenie, które jest obecnie częścią mnie. Czy przyzwyczajenie to stanie się mocniejsze, jeżeli dalej podobne zdarzenia będą miały miejsce?” Co najmniej teraz mój *plexus-solaris* i główny bohater *De Revolutionibus Orbium Coelestium* są na równej stopie. Tyle samo zależy ode mnie, co od tego świecącego. Może by zgrzeszyć tak bardzo, żeby się na mnie rozzłościło i nie pokazało mi już swojego oblicza — tak dla dobra eksperymentu? Albo może udam się na Wyspy Polinezyjskie i spróbuję schwycić na łąso? Wraz z uznaniem i zaszufładowaniem „A albo nie-A”, życie zaczyna oszalać możliwościami. I okazuje się, że kiedy Słońce i ja jesteśmy równymi sobie partnerami, życiorys mój jest mniej nudny od życiorysu Słońca. Mniej podległy rutynie. Gdyby jeden z moich przyjaciół nie został mianowany ambasadorem państwa, którego poprzedni i obecny rząd nie uważają za szczególnie zaprzyjaźnione i gdyby inny z moich przyjaciół, którego nie widziałem od lat (jakiż ostrożny jestem czyniąc tę uwagę!), nie był współpracownikiem Monsieur Joliot, a potem nie udałby się do Ameryki i nie został stamtąd wyrzucony, prawdopodobnie nie odmówiono by mi wydania paszportu brytyjskiego — co miało miejsce — i moje podróże nie ograniczyłyby się do obszaru Zjednoczonego Królestwa — a tak właśnie przedstawia się obecnie moja sytuacja — i mógłbym wsiąść w ponaddźwiękowy samolot i lecąc na Zachód w znacznym stopniu opóźnić

następny Wschód Słońca albo udać się na biegun północny czy na biegun południowy i czekać kilka miesięcy, żeby zobaczyć go ponownie, a to wszystko po upływie wystarczająco długiego czasu powinno prze-warunkować i od-warunkować moje przyzwyczajenia stworzone dzięki jego periodyczności. A ponieważ moje przyzwyczajenia były tą Skאל, na której w tym paragrafie miałem zbudować moją wiarę w jego Wschody, podwaliny mojej potencjalnej wiary kruszą się, tak jak uprzednio legły w gruzach podwaliny innych przesądów.

Używam słowa „przesady”, ponieważ przesąd pozostaje przesądem, nawet jeżeli przedmiot tego przesądu jest prawdziwy. Mogę „wiedzieć” (albo dlatego, że mnie tak nauczono, albo na podstawie obserwacji), że jeśli naciśnie pstryczek, to zapali się żarówka; i mogę „wierzyć”, że jeśli naciśnie pstryczek, to zapali się żarówka. Jeśli to „wiem”, a potem zdarza się, że żarówka nie zapala się, wzywam elektryka. Jeśli „wierzę”, to powinienem paść na kolana albo włożyć czapkę na głowę, albo dotknąć czołem podłogi i modlić się, prosząc żarówkę (albo pstryczek) o przebaczenie za moje grzechy, którymi musiałem obrazić cały obwód elektryczny lub jego część, nawet gdybym nie wiedział, kiedy owe grzechy popełniłem.

3b. Próbowałem (1b) spojrzeć na problem Wschodzącego Słońca w formie podobnej do (1a) „Psy szczekają” i nie mogłem znaleźć przyczyny, dla której pewna liczba (choćby ogromna) podobnych sytuacji mających miejsce w przeszłości miałyby skłonić mnie do oczekiwania (lub „wierzenia”), iż jest bardziej prawdopodobne to, że trzpień obrotowy obróci się raz jeszcze, niż to, że się zatrzyma.

Próbowałem (2b) spojrzeć na to w formie podobnej do (2a) „Benjamin szczeka” i zobaczyłem, że byłbym przesądny opierając moją „wiarę” na przyzwyczajeniu, które wytworzyło się we mnie, ponieważ jego charakter nie jest bardziej uzależniony od ruchów Słońca niż od moich, a te mogłyby być tak odmienne, że całkowicie pozbawiłyby mnie uwarunkowań.

Teraz zamierzam spojrzeć nań w formie podobnej do (3a) „Cukier rozpuszczalny”. Tutaj ponownie wyrzucamy za burtę wszystkie obserwacje poczynione w przeszłości odnośnie wschodzącego Słońca i rozpuszczającego się Cukru. Tu i teraz mają one wartość wyłącznie historyczną. Posłużyły nam do zdobycia wiedzy, którą teraz posiadamy, na temat rozpuszczalności cukru i ruchów Planety, ale zgromadziwszy ją, już ich nie potrzebujemy. Żaden symbol reprezentujący liczbę obserwacji dokonanych w przeszłości przez pokolenia fizyków i astronomów nie pojawia się w żadnym równaniu dotyczącym rozpuszczalności czy też dziennych ruchów układu Słońce-Ziemia. Gdyby odwiedził nas teraz gość Skąd Innąd, który nie wiedziałby nic o ruchach naszego Układu Słonecznego w przeszłości i gdybyśmy mu dostarczyli wszystkich potrzebnych „bieżących” danych dotyczących położenia, kierunków, prędkości, grawitacji *etc.* Ziemi i Słońca, to jedynie na mocy tychże danych byłby w stanie powiedzieć nam dwie rzeczy: (A) jaką pozycję zajmowało Słońce 24 godziny temu; i (B) jaką pozycję będzie zajmowało Słońce za 24 godziny; i nie ma powodu, dla którego miałby być

bardziej przekonany o poprawności (A) niż (B). Gdyby chciał zachować pewną rezerwę, musiałby zachować ją w obydwu przypadkach, do „po-wiedni”, jak i „prze-powiedni”, zarówno (A), jak i (B). Musiałby powiedzieć: (A) „24 godziny temu Słońce było w takim to a takim położeniu, zakładając, iż świat istnieje dłużej niż 24 godziny i że nic wyjątkowego nie zdarzyło się wczoraj”. I: (B) „Za 24 godziny Słońce znajdzie się w takim to a takim położeniu, zakładając, iż Koniec Świata nastąpi później i że nic wyjątkowego nie zdarzy się jutro.” Przy czym mówiąc „nic wyjątkowego” miałby w obu przypadkach na myśli to „coś co nie wchodzi w skład danych, które mi przedstawiono”. Nie widzę powodu, dla którego miałby użyć słowa „wiedzieć” w odniesieniu do (A), a „wierzyć” w odniesieniu do (B); dlaczego wolno byłoby mu powiedzieć „wiem”, że 24 godziny temu Słońce... *etc.*” natomiast oczekiwano by, że powie „Wierzę”, że za 24 godziny Słońce... *etc.*” Dla niego obydwa zdania oparte są na tych samych danych, dotyczących bieżącego stanu spraw słonecznych i przypadkowo nie mają nic wspólnego z obserwacjami z przeszłości.

Czyż nie znajdujemy się w dokładnie takim samym położeniu jak ten gość Skąd Innad? Dla nas również stwierdzenia (A) i (B) oparte są na naszej znajomości istniejącego obecnie w układzie słonecznym stanu rzeczy i fakt pamiętania obserwacji dokonanych w przeszłości (albo uwarunkowanych przez nie przy-zwyczajęń) działa jedynie jako zwodniczy kamuflaż naszego myślenia. Zatem nam również powinno być wolno użyć słowa „wiedzieć” zamiast „wierzyć”, kiedy dajemy wyraz naszemu stanowi umysłu, naszym myślom, oczekiwaniom itd. dotyczącym zdolności Słońca do wschodzenia w niezbyt odległej astronomicznie przyszłości.

Przypadek ten nie różni się od sprawy pociągu i rozkładu jazdy. Spieszę się nie dlatego, że wierzę, iż pociąg odjedzie ze stacji o 4.30 (jak zwykle), ale ponieważ wiem, iż odjeżdża ze stacji o 4.30, chociaż wiem też, że może on wyjątkowo wyjechać później, albo nawet wcześniej. I moja wiedza na temat „4.30” opiera się nie na doświadczeniu nabytym w przeszłości, ale na Rozkładzie Jazdy, chociaż może być tak, że moja wiedza na temat Rozkładu Jazdy nie bierze się z przeczytania kawałka zadrukowanego papieru, ale wynika ewidentnie z moich doświadczeń wyniesionych z przeszłości. Pewna wiedza na temat Mechanizmu Systemu Kolei [(choćby wiedza, że taki system istnieje), (albo układ słoneczny, albo system molekularny)] bez wątpienia ma swój udział w uformowaniu poglądu na temat tej sytuacji (albo raczej jej „obrazu” czy planu). Chociaż sytuacja nie musi się tak przedstawiać w przypadku Piotra i Pawła, którzy pochodzą z wyspy, gdzie jeździ się wyłącznie konno. Piotr, nieświadomy istnienia Rozkładu Jazdy, może uwierzyć, że istnieje bezpośrednie powiązanie między zegarem wybijającym godzinę 4.30 a pociągiem odjeżdżającym ze stacji; a Paweł, że istnieje bezpośrednie powiązanie między sprawą, którą ma do załatwienia w Manchesterze i pociągiem udającym się w tym kierunku. W dniu, w którym zmieni się Rozkład Jazdy, Piotr, mimo że zostanie o tym poinformowany, poczuje się zmuszony (po

prostu *en tout cas*, dla bezpieczeństwa), aby wsiąść do pociągu o zwykłej porze, o 4.29, i poczekać w wagonie; a Paweł, w pierwszy *week-end*, w który nie ma nic do roboty w Manchesterze, mógłby wsiąść w ten sam pociąg, co zawsze i poprosić konduktora, żeby zabrał go do Brighton. (Prawdopodobnie byłoby bezpiecznie przyjąć założenie, że Piotr jest biednym czeladnikiem, a Paweł bogatym właścicielem ziemskim.) To samo nieporozumienie („4.29” i „Brighton”) mogłoby się oczywiście przytrafić również i mnie. Jednakże nie byłaby to wtedy kwestia wiary. Przypadek Piotra odniesiony do mojej osoby nazywałby się błędem; a przypadek Pawła roztargnieniem.

4a cd. i 4b.

Oczywiście to, że pociągi się spóźniają, jest bardziej prawdopodobne od tego, że Słońce się spóźnia; a to, że Słońce się spóźnia, jest bardziej prawdopodobne od tego, że cukier staje się nierozpuszczalny. Skąd to wiem? (Sam fakt, że pytam tu: „Skąd wiem?”, a nie „Skąd bierze się moja wiara?”, wydaje się poparciem argumentacji, że jest to raczej kwestia wiedzy niż wiary.) Skąd? Nasuwa się wiele odpowiedzi (opartych głównie na fakcie złożonych molekuł proteinowych składających się na Kolej, a nie na Układ Słoneczny), jednakże ostateczną odpowiedzią byłaby odpowiedź następująca, że (a) nic z tego, co może przydarzyć się Kolejowemu Rozkładowi Jazdy, nie może wpłynąć na porządek Układu Słonecznego, podczas gdy to, co może przydarzyć się Układowi Słonecznemu, może wpłynąć na porządek Kolej; i że nic z tego, co może przydarzyć się Układowi Słonecznemu, nie może wpłynąć na Rozpuszczalność Cukru, podczas gdy dowolna zmiana w rozpuszczalności Cukru (jako że pociąga za sobą zmiany podstawowych stałych) musi wpłynąć i na Układ Słoneczny, i na System Kolej, i na System Nerwowy, i na resztę Wszechświata.

Interwencja z zewnątrz może zapobiec temu, aby łyżeczka cukru uległa rozpuszczeniu, ale żadna interwencja z zewnątrz nie może wpłynąć na Rozpuszczalność Cukru bez przekształcenia cukru w Cucukier. Jednak pewne interwencje z zewnątrz mogą wpłynąć na bieg Ziemi i Słońca bez pociągania za sobą jakichkolwiek zmian podstawowych stałych, a zatem, co może mieć miejsce, bez konieczności znalezienia nowej nazwy na to co nazywamy „Układem Słonecznym”. Powstaje pytanie: do jakiego stopnia może się zmienić System Słoneczny bez zatrącenia cech Układu Słonecznego? I: czy taka zmiana może nadejść bez ostrzeżenia? Jeżeli Słońce i Ziemia rozpadną się na kawałki (cokolwiek by to znaczyło) można by to uznać (choć niekoniecznie) za koniec całej tej maszyny albo za początek nowej. „I ujrzałem nowe niebo i nową Ziemię: bo pierwsze niebo i pierwsza Ziemia przeminęły; i nie było już morza.” Jednak jeśli prędkość obrotów Ziemi zmniejszy się dwukrotnie (innymi słowy: jeśli Słońce nie wszędzie wtedy, kiedy na moim zegarku będzie 7.50), to nadal można będzie uważać relację Słońce–Ziemia za kontynuację obecnej relacji. Czy może to nastąpić bez ostrzeże-

nia? Czy wszystkich siedem trąb świętego Jana zarezerwowanych jest na nadejście totalnego kataklizmu i czy ani jedna nie zapowie zmniejszenia prędkości obrotów Ziemi?

Kwestia ostrzeżenia ma prawdopodobnie coś wspólnego ze „skalą” wydarzenia. W momencie, kiedy zapalam zapalkę, zdarzyć się może, że nagle, bez ostrzeżenia, zerwie się wiatr i zdmuchnie płomień. Jednakże gdyby ta płonąca zapalka miała rozmiar pożaru w Chicago i trzeba by było ją zdmuchnąć, to trudno byłoby sobie wyobrazić huragan odpowiedniej mocy, nadciągający gwałtownie, i to bez najmniejszego ostrzeżenia. W skali Układu Słonecznego gwałtowne dwukrotne zmniejszenie prędkości obrotów Ziemi prawdopodobnie trwałoby dłużej niż 24 godziny (lata? wieki?), w którym to czasie pewne znaki, takie jak kometa, czarne plamy na Słońcu czy zakłócenia w odbiorze trzeciego programu, musiałyby zostać zauważone. Ponieważ nic takiego nie wydarzyło się, mam dzisiaj powody ku temu, by „myśleć”, że następnym razem Słońce wszędzie zgodnie z Prognozą Pogody zamieszczoną w „Timesie” (zarówno jutrzejszy wschód Słońca, jak i prognoza „Timesa” na jutro wynikają w równym stopniu, jak też i niezależnie, z obecnego stanu rzeczy) i „postępowanie” takie, jak każdego innego minionego dnia, po którym następowało nie pozbawione słońca jutro, i to moje „myślenie” „i” „działanie” to coś innego niż „wiara”.

Według tego, jak rozumiem te słowa, to właśnie „wiedzieć” mile widzi dowody i jest w stanie oprzeć się każdej ilości zastrzeżeń (w gruncie rzeczy jest ono zanurzone w oceanie „jeśli”); a „wierzyć” nie dba o dowody (bez względu na to, czy są one za, czy przeciw) i jest podatne na słowa „jeśli”, których rosnąca liczba zmienia rzecz całą w parodię. Jeśli pytam Jana „Co się stanie z tym metalowym prętem, jeśli go podgrzeję?”, a on odpowiada „Wierzę, że wydłuży się”, to nachodzi mnie chęć, by powiedzieć: „Posłuchaj Janie, innym razem z przyjemnością posłucham tego, co masz do powiedzenia na temat rzeczy, w które wierzysz, ale teraz chciałbym się dowiedzieć, co się stanie z tym oto metalowym prętem, jeśli go podgrzeję”. Twierdzenie „Pręt ulegnie wydłużeniu wraz ze wzrostem temperatury” jest zgodne z dowodami i towarzyszy mu nieskończona ilość milczących „jeśli” typu: „jeśli nie odpiłuję kawałka pręta”, „jeśli nie wywrze się nacisku na jego końce, tak że zgęstnieje zamiast wydłużyć się”, „jeśli dopływ tlenu nie będzie na tyle duży, aby pręt uległ spaleni” itd. Twierdzenie to wytrzymuje próbę eksperymentów i sprzyja mu towarzystwo słów „jeśli”. Inaczej mają się rzeczy, jeśli ktoś mówi: „Moja droga Mario, słyszałem to już setki razy i nigdy nie stwierdziłem, że to prawda; mimo to teraz ci «wierzę» (i nie obchodzą mnie żadne dowody), wierzę, że będziesz zawsze kochała Smitha, jeśli nie straci pieniędzy, jeśli nie złamie nóg, jeśli nie dostanie pryszczu na nosie, jeśli nie pójdzie do łóżka z twoją fryzjerką, a ty z jego manikiurzystą, a on z twoją pediurzystką, a ty z jego masażystą, a on z twoją dentystką, a ty z jego lekarzem, a on z twoją położną, a ty z...” Nie, słowo „wierzyć” nie jest w stanie wytrzymać

próby wielu zastrzeżeń. „Wiedzieć” plus „jeśli” to temat dla „Umysłu” i „Natury”. „Wierzyć” plus „jeśli” to pożywka dla „Pięści”.

Kłopot polega na tym, że ludzie sprawiają wrażenie, iż wiedzą „i” wierzą jednocześnie w tę samą rzecz. W takim przypadku bardzo trudno jest zorientować się w tym, co oni właściwie robią. Może zdarzyć się tak, że za wskazówkę posłuży liczba słów „jeśli” obecna w ich stanie umysłu. Ten królik doświadczalny zawsze i we wszystkich sytuacjach wykazywał skłonność do bycia świadomym istnienia wielu „jeśli”, „wiedząc zawsze, że istnieją inne nastroje”. I to prawdopodobnie doprowadziło do tego, że powiedział Panu, iż nigdy nie „wierzył”. Kiedy słyszy pochwały kierowane w stronę Rosji i wyrazy niezadowolonia wobec reszty Europy wywołuje to w nim „dyskomfort intelektualny”. Ale kiedy słyszy wyrazy niezadowolonia kierowane w stronę Rosji i wiaty na cześć reszty Europy również czuje „dyskomfort intelektualny”. Tak samo byłoby w przypadku Monako i Andory czy też Teizmu i Ateizmu. Jest tak wiele „jeśli” w każdej kwestii, bez względu na to, czy dotyczy ona wschodów Słońca czy Boga. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek wierzył w Boga, chociaż muszę przyznać, że ten szczególnie stan umysłu nie jest obcy mojemu doświadczeniu. Mam tu na myśli ten stan umysłu, który ludzie wierzący (niekoniecznie) starają się wyjaśnić wprowadzając do swojego słownika czynniki nadprzyrodzone i omawiając je w kategoriach religii. Zatem stwierdzenie „Nigdy nie wierzyłem” nie powinno być odczytane jako deklaracja pewnego siebie umysłu wierzącego we własną moc; nie, jest to stwierdzenie faktu, wygłoszone bez arogancji i nadmiernej pokory, nie ma w nim ani chłodnego dystansu, ani żarliwego zaangażowania, jest ono po prostu szczere.

Łańcuch myśli racjonalnych może być solidny i mocny, jednakowoż co to za Skala, do której można przycumować pierwsze ogniwo, pierwszą, główną przesłankę? Łańcuch myśli religijnych może być tylko fałszywym nagromadzeniem błyszczących świecidełek, błyskotek, strojnych ubiorów, ale jego pierwsze ogniwo przycumowane jest do czegoś, co dane jest na drodze objawienia. Można upierać się przy tym, że stwierdzenie utrzymujące, że jest to objawienie, stanowi samo w sobie założenie arbitralne i że to właśnie czyni całą sytuację tak groteskową. Jednakże nie zwalnia nas to wcale od poszukiwania Skali, do której by można przycumować pierwsze ogniwo łańcucha naszych myśli Racjonalnych. Mam nadzieję, iż nie zinterpretuję źle Pańskich poglądów, jeśli powiem, że wypowiadając dwa słowa „Natura Ludzka”, ma Pan na myśli Świecką Skalę. W każdym razie to najważniejsza rzecz, jaką wyniosłem z Pańskich książek. Kiedy tylko zastąpimy słowa symbolami matematycznymi, znajdziemy się od razu na drodze, u kresu której musimy stanąć twarzą w twarz z tym, co nazywa Pan „Naturą Ludzką”. Bez względu na, czym ona jest, czy jest tym, czym ja bym sobie życzył, żeby była, czy tym, co by sobie życzył Mr Dupont, Braun, Iwanowicz albo Li, bez względu na to, czy staje się tym, czym chcielibyśmy by się stała, czy też czy my stajemy się tym, czym ona nas czyni — to jest złe zdanie, może być skończone i nie może zostać

wykreślone. Być może jest Nadzieja na taką Naturę Ludzką, jaką chciałbym ją widzieć.

Sam fakt przetrwania Kościołów wskazuje, jak się zdaje, że nie wynikało to z atrakcyjności liturgicznych czy teologicznych świecidełek, ale że musiało być w tym coś, co odzwierciedla naturę ludzką, do czego przycumowane jest pierwsze ogniwo. Gdyby to był dekalog, to czy można by go oczyścić („10” jest za dużą liczbą jak na nasze czasy), wypucować i przycumować do łańcucha myśli racjonalnych? Czy możemy dojść do porozumienia w kwestii takiej, które przykazania akceptujemy, albo raczej: które „są” Naturą Ludzką? Czy i w jaki sposób możemy nakłonić innych ludzi, aby je zaakceptowali? Na drodze perswazji? Ale perswazja jest tylko kolejnym łańcuchem logicznego rozumowania i bez względu na to, jak będzie silna, pierwsze ogniwo nie może być przycumowane do tego samego Dekalogu, do którego ma dojść ogniwo ostatnie. On może przekonać ludzi, że 'a' jest najlepszą metodą osiągnięcia wyniku 'A'. Ale nie możemy ich przekonać, aby pragnęli 'A', jeżeli chcą 'B'. Możemy jedynie walczyć o 'A'. (I czy możemy walczyć „bez” łamania tego właśnie przykazania, które głosimy w Ewangelii?)

Odnosimy wrażenie, jak gdyby brakowało czegoś w tym obrazie. Jeśli natura mojego królika doświadczalnego jest ludzka, to wyczuwam w niej pewną „konfigurację”, która jest przyczyną czegoś, co nazywam poczuciem symetrii albo równowagi artystycznej, albo — sprawiedliwości, nazwa zależy od tego, do czego ją odnoszę. Czy ta „konfiguracja” jest wspólna całej Naturze Ludzkiej? Pytanie to jest dla mnie bardzo istotne i widzę, że nie znam na nie odpowiedzi.

Podczas wizyty w Richmond (która miała miejsce kilka miesięcy przed moją wizytą) Kardynał Pölättö powiedział „...Drogi Bertie, mogę mieć przed oczyma wszystkie strony twoich symboli (odwoływał się tu do *Principia Mathematica*) i wciąż nie wiedzieć, co zrobisz jutro. Z drugiej zaś strony, spróbuj przynieść do mojego konfesjonału zawartość twojego serca, daj mi usłyszeć głos duszy twojej, a będę mógł lepiej przewidzieć, jak się zachowasz w takiej czy innej sytuacji. A ponieważ nauka zajmuje się przewidywaniem tego, co się, w takiej czy innej sytuacji staje, to czy nie będzie metodą bardziej naukową dać mi obejrzeć twą duszę niż czytać twe książki?” Nie identyfikuję się z Kardynałem, zwłaszcza przez wzgląd na to, że na końcu został powalony na podłogę w Pańskim gabinecie, ale czuję, że „ja” powinienem pójść za jego naukami i pozwolić Panu wejrzeć w moją duszę.

I być może definicja „Duszy” mogłaby tu brzmieć: „to coś, do czego jest przycumowane pierwsze ogniwo, pierwsza ważna przesłanka naszych ksiąg”.

Z poważaniem
Stefan Themerson

26 marca 1952

41 Queen's Road, Richmond, Surrey

Drogi Panie Themerson!

Dziękuję Panu za Pański fascynujący list na temat rzeczy, w które Pan nie „wierzy”. Prawie każde słowo listu jest dla mnie przekonujące. Oczywiście gdybym chciał się czepiać, mógłbym spierać się na temat sposobu użycia słowa „wierzyć”. Myślę, że Pan używa tego słowa na sposób potoczny. A mój, jak sądzę, jest powszechny w kręgach filozofów. Bardzo podoba mi się pański Kardynał i szkoda, że prawdziwi Kardynałowie nie są choć w połowie tak inteligentni jak on. Odniosłem wrażenie, że Pański list powinien zostać opublikowany w jakimś periodyku filozoficznym. A jakie jest Pańskie odczucie? Jeżeli nie miałby Pan nic przeciwko temu, zorientuję się, co mógłbym uczynić w tej kwestii.

Proszę nie zapominać o tym, że chętnie ponownie spotkałbym się z Panem i Panią Themerson w każdym dogodnym terminie.

Z poważaniem
Bertrand Russell

1 kwietnia 52

49 Randolph Avenue, London W9

Drogi Bertrandzie Russell!

Dziękuję Panu bardzo za list i za cierpliwość, jaką okazał Pan czytając strasznie długie wywody, które Panu posłałem. Wiadomość o tym, że Pańskim zdaniem winien być on opublikowany w periodyku filozoficznym, jest równie fascynująca jak nieoczekiwana. Nie mam nic przeciwko temu, choć chciałbym opuścić 10 wersów na stronie 12 (od „Gdyby jeden z moich przyjaciół nie...” do „jakimi właściwie są, a w tym przypadku...”) i to nie tak bardzo z tego powodu, że są prywatne, ale ponieważ dotyczą innych ludzi.

Przeczytałem w „The Times Literary Supplement” w dziale *Books To Come* cytaty z Pańskiej książki, która ma się wkrótce ukazać i z niecierpliwością oczekuję na jej publikację.

Czy sądzi Pan, iż mógłby pewnego dnia zechcieć wdrapać się na nasz strych i zjeść z nami posiłek? O dowolnej porze, każdego dnia.

Z poważaniem
Stefan Themerson

5 kwietnia 1952

41 Queen's Road, Richmond, Surrey

Drogi Themersonie,

Dziękuję za Pański list. Doskonale rozumiem powody, dla których chce Pan opuścić dziesięć wersów na stronie 12, chociaż są one dla mnie bardzo interesujące i chciałbym dowiedzieć się więcej o ludziach, których dotyczą. Uważam też, że jeżeli list Pana miałby zostać opublikowany, to może warto byłoby nie robić tego w formie listu. Trzeba by jedynie zmienić kilka zdań.

Sprawiloby mi ogromną przyjemność zjedzenie z Państwem posiłku, ale musimy to odłożyć na po 26 kwietnia, ponieważ do tego czasu będę za granicą. Gdyby zechciał Pan zadzwonić do mnie któregoś dnia po tym terminie, moglibyśmy ustalić datę. Kiedy wrócę z zagranicy zorientuję się, o ile Pan wyraża na to zgodę, co będę mógł zrobić w sprawie publikacji Pańskiego listu.

Z poważaniem
Bertrand Russell

P.S. — Większość filozofów to świętoszkowie i wątpię, że chłopiec siusiający do czajniczka sprawi im tyle przyjemności, co mojej osobie.

Przełożyła *Małgorzata Sady*